№ 53. Poniedziałek, dnia 4 Października 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE Tygodnik

WARSZAWA dnia 22 Września (4 Października) 1875 roku.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy poniedziałek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie kop. 38.
" " na prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rs. 6; — kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA przy ulicy Mazowieckiej Nr. 1350 (nowy 11).

Wychowanie domowe i życie rodzinne.

Życie i nauka z każdym dniem silniejszy zawierają z sobą sojusz. Widzimy to jawnie i dotykalnie we wszystkich zakresach działalności ludzkiej,—ale żadna podobno z żywotnych spraw społecznych nie może i nie powinna tyle korzystać z rezultatów nauki spółczesnéj, co wychowanie dzieci.

Dzisiaj już ugruntowało się przekonanie, że troskliwość najserdeczniejsza rodziców, największa ich sumienność, religijność, duch obywatelski, nie wydadzą w wychowaniu całkowitych rezultatów, bez przyzwania w pomoc racyonalnych zasad, podyktowanych przez fizyologię i hygienę z jednéj a psychologię i pedagogikę z drugiej strony.

Celem ostatecznym wychowania jest rozwinięcie wszechstronne fizycznych i umysłowych zdolności dziecka, któreby mu pozwoliło pojąć i spełnić godnie swe ludzkie obowiązki, oraz osiągnąć lub przynajmniej dążyć do osiągnięcia pewnych wyższych celów, ściśle związanych z potrzebami i zadaniami tak społeczeństwa śród którego żyje, jak też i całej ludzkości.

Wychowanie więc powinno zmierzać ku rozbudzeniu i rozwinięciu duchowéj strony człowieka, przez dostarczenie jej odpowiedniego duchowego pokarmu.

Właściwością natury dziecinnej jest wrażliwość i dążność do naśladowania. Dziecko nie jest w stanie uchwycić pojęcia które nie odpowiada doznanemu przez nie wrażeniu; z trudnością i niechęcią suszy sobie głowę i męczy pamięć nad regułami grammatycznemi i innemi oschłemi definicyami, ale za to z jakąż ciekawością i bystrością śledzi za tem, co się koło niego dzieje, jak bacznie obserwuje wszelkie zjawiska przyrodzone, wszelkie słowa, czyny, gesta otaczających je osób. Umysł dziecinny jest chciwy wrażeń, szuka ich, chwyta je i przerabia po swojemu na pojęcia. Jeśli więc osoby kierujące jego wychowaniem umieją otaczać go wrażeniami mogącemi korzystny wpływ na młodociany umysł wywierać, jeżeli umieją przystępnie dla dziecięcego umysłu objaśniać to wszystko, co zwraca jego uwagę, to w łatwy i miły zarówno dla siebie jak i wychowańców sposób, spełnią najważniejszą część tego trudnego zadania. Któż bowiem nie wie z własnego doświadczenia, jak trudno w późniejszych latach pozbyć się pojęć, uprzedzeń i przesądów nabytych w wieku dziecinnym.

Przedewszystkiem więc zarówno rodzice jak i nauczyciele chcący godnie spełnić swoje wychowawcze zadanie, chcący osiągnąć z niego należyte rezultaty, powinni zwrócić uwagę na siebie, zajrzeć w głąb duszy, przekonać się o ile sami posiadają zalety, które chcą w wychowańcach za szczepić, o ile sami są wolni od wad, które w dzieciach wytępić się starają.

Na co się zda nakłaniać dzieci do pracy i porządku, jeśli ich tego własnym nie nauczymy przykładem. Daremnie również będziemy się starać obudzić w nich zapał i gorliwość do nauki, jeśli ona dla nas samych nie stanie się codzienną umysłu naszego potrzebą. Ten tylko może obudzić w wychowańcu zapał ku nauce, kto go sam czuje; ten tylko zdoła zaszczepić w sercu dziecięcia szlachetność, religijność, szczerość, kto sam te cnoty posiada.

Pospolicie domowe wychowanie uważa się za przygotowanie do szkół publicznych, szkoły zaś publiczne za środek dojścia do stanowiska na świecie, do zapewnienia sobie kawałka chleba. Spieszą więc rodzice z oddaniem synów do gimnazyum, by po ukończeniu nauk młode chłopię jak najwcześniej na arenę walki o byt mogło wstąpić.

Niepodobna i nie myślimy odmawiać szkołom publicznym wielkiego znaczenia i pożytku; ale nie ulega wątpliwości, że wartość osiągniętych przez nie rezultatów, zależy przedewszystkiem od początkowego wychowania domowego. Szkoła publiczna z natury swéj nie może działać na każde indywidum zosobna; ona musi przypszczać, że wszyscy uczniowie jednéj klassy mają jednakowe zdolności, jednakowe umysłowe zasoby. Dom musi zawsze uzupełniać i wspierać działanie szkoły, wyrównywać te szczerby i nierówności jakie z takiego machinalnego że tak powiemy działania w umysłach młodzieży powstają.

Pierwszym atoli warunkiem skuteczności wszystkich zabiegów rodzicielskich jest obudzenie w dziecku nietylko przywiązania i szacunku dla roziców, lecz zamiłowania do życia rodzinnego, przywiązania do domowego ogniska, które powinno odciągać chłopca od szukania po za domem rozrywek i przyjemności. Szacunek rodzice mogą obudzić w dzieciach jedynie ścisłem zachowywaniem tych wszystkich przepisów, których nauczają swoje dzieci; przywiązanie wywołać może tylko poświęcenie się i serdeczna troskliwość o dobro i potrzeby dzieci; zamiłowanie zaś domowego ogniska będzie naturalnym wynikiem naprzód szacunku i miłości dla rodziców, a następnie szczęścia, jakiego się doznaje w gronie rodzinném spojoném węzłami szacunku, miłości i poświęcenia się wzajemnego.

Miłość dla nauki i sztuki nietylko nie niweczy ale owszem wzmacnia węzły rodzinne, i sprawia że dom przestaje być hotelem w którym ojciec rodziny i synowie stołują się tylko i nocują szukając po za domem rozrywek, a staje się upragnionem miejscem wytchnienia dla ciała i duszy zarazem, staje się świątynią domowego szczęścia, któréj kapłanką jest kobieta-żona i matka.

Od kierunku tych drobnych kółek, od siły żywotnego ciepła w ogniskach tych zawartego, zależy przyszłość każdego społeczeństwa. Ze względu zaś na rolę jaką w nich odgrywa kobieta, podniesienie jej moralne, rozwinięcie jej umysłu i uszlachetnienie serca, to najpewniejszą i jedynie

skuteczna droga prowadząca do moralnego a nawet materyalnego podniesienia całego społeczeństwa.

NA MYLNEJ DRODZE,

POWIEŚĆ

W OBRAZKACH Z NASZEGO ŻYCIA,

przez

Krystynę Narbuttównę.

(Dalszy ciąg. — Patrz Numer 52).

Ruch był niezwykły w Zalesiu w sobotę przed wierzbną niedzielą; w wigilią dnia tego na noc wyszły konie do najbliższéj stacyi pocztowéj po panie wracające z Warszawy. Gasztold już od kilku dni, to jest od chwili kiedy otrzymał list żony z oznaczeniem dnia powrotu, nie mógł sobie miejsca znaleść, bo mu dzień każdy dwoić się zdawał, pomimo że od rana do późnéj nocy niezmiernie był zajętym. Chciał ażeby pani Gasztoldowa znalazła w domu wszystko w jak najlepszym porządku i chociaż zwykle nie lubił wglądać w gospodarstwo kobiece, tą razą ze szczególną drobiazgowością sam wchodził w każdy, najmniejszy szczegół; dom kazał oczyścić i odświeżyć, przejrzał kredens i kuchnią, kazał pokazywać sobie naczynia czy czysto utrzymane, przy sobie kazał uporządkować i ustawić spiżarnią i zaopatrzyć ją jak należy, zajrzał nawet do kurników i chlewków, wszędzie był i sam naocznie chiał się przekonać azali jego ukochana Marynia znajdzie wszystko w domu według swego upodobania, z troskliwością czuwał nad tem, ażeby ją ustrzedz od téj przykrości, jakiéj najczęściéj gospodyni domu gdy wraca do siebie po długiéj niebytności doznaje na widok rozprzężenia jakie zwykle w takich razach się wciska w porządek domowy. Gasztold w sobotę równo ze wschodem słońca był na nogach i chociaż według najskrupulatniejszego wyleczenia nie mógł się spodziewać przybycia oczekiwanych inaczéj jak dobrze po południu, od rana już czekał i co chwila spoglądał to na zegarek, to na drogę, którą przyjechać miały, obiad już od wczora był obmyślany i zadysponowany, a na niego rozumie składały się wszystkie potrawy ulubione żony i córki. Im bliżéj było godziny w któréj się spodziewać ich było można, tém niecierpliwość Gasztolda wzrastała. Wiosna tego roku była wczesna, trawka wyskakiwać z ziemi zaczęła, drzewa i krzewy zazieleniały, drzwi i okna na oścież otworzono, Gasztold co chwila wychodził na ganek. To szedł ku bramie, to zwracał się ku kuchni i nowe jakieś rozporządzenie dorzucał, to nareszcie wołał na Franka i kazał mu leść na dach po drabinie, która jak zwykle dla użytku kominiarzy sięgała aż na sam wierzch, i patrzeć czy czasem nie jadą.

Franek, któremu już nogi zdrętwiały od ciągłego biegania, wziął się na koncept i nie zlazł z dachu, lecz zajął tam już stałą pozycyą i oparłszy się plecami o komin, nogi wyciągnął i siedział na ciągłéj obserwayci, czasem tylko dla rozrywki alarmując z cicha dziewczęta przebiegające z pokoju do kuchni, i dopiero gdy która już otwierała usta żeby narobić hałasu i wieść ogłosić, wołał na nią że nieprawda. Aż na raz porwał się na równe nogi i stojąc około komina wrzasnął z całych piersi: „Jadą! jadą!“ Głos jego i postawa tak przekonywały o prawdzie jego słów, że Justka choć tyle razy zwiedziona, tą razą bez wahania wpadła do pokoju wołając: Już jadą! Gasztold poczerwieniał, z młodzieńczą żywością wybiegł na ganek i zapytał Franka głosem w którym drgało wzruszenie:

— Czy doprawdy jadą?

— Jadą z pewnością panie.

— A daleko?

— Minęli brzeźniaczek a teraz zwracają się na groblę.

Gasztold stał i stojąc przestępował z nogi na nogę, a wciąż patrzał ku bramie; na grobli dało się słyszeć klaśnięcie z bat, jedno i drugie, znać podróżni jechali, ludzi coraz więcéj gromadziło się około domu, nareszcie pod samą bramą Szymon furman rozwinął bata palnął jak z pistoletu, a jednocześnie w bramie ukazały się w podsiadach trzy konie lejcowe, za niemi tęgim kłusem zdążała para dyszlowych i wtoczyła się w dziedziniec wypakowana landara szara od kurzu. Gasztold zbiegł ze schodów i nim lokaj zdążył zeskoczyć z tartas, bieganina, jedni drugich wołali, jedni drugich popychali, a każdy się gapił. Michał wołał ażeby mu pomagano paki odśrubowywać, a dowołać się nikogo nie mógł; kucharz z kuchni wołał o półmiski i doczekać się ich także nie mógł, choć ludzi było pełno i każdy rad był posłużyć, ale wszyscy głowy potracili i była z razu istna wieża Babel.

Kiedy się trochę uspokoiło i zniesiono rzeczy, pani Gasztoldowa i Anna zaczęły rozdawać przywiezione gościńce z Warszawy, a o nikim nie zapomniano—nowy hałas, nowa radość, nowe podziękowania i dopiero późnym zmrokiem wszystko to cichnąć zaczęło.

Gasztold z listów żony wiedział już, że Wanda nie wróci, w téj chwili ogólnéj radości uczuł niewypowiedziany brak ukochanéj siostrzenicy i z żalem o tém mówić zaczął, ale pani Gasztoldowa dała znak ażeby przy Annie nie naruszał tego przedmiotu, nie chciała jéj biednéj niezgojonego jeszcze serca rozraniać. Anna zbyt żywo jeszcze cierpiała i cierpiała podwójnie: nie mogła się oprzeć tęsknocie za Wandą, z którą tyle lat i tyle miłych chwil wspólnie przeżyły, i bolesną jéj była nad wyraz obojętność z jaką Wanda to wszystko odrzuciła i podeptała: był to jéj pierwszy zawód.

Nazajutrz w niedzielę, przed ubożuchnym kościołkiem zebrała się cała ludność Zalesia i wiosek okolicznych, a musiało już chyba nikogo z parafijan nie braknąć; taka była moc pobożnego ludu, że szczupłe drewniane ściany świątyni Bożéj pomieścić ich nie mogły i większa połowa stała na cmentarzu przy drzwiach otwartych. Kiedy ksiądz Józefat paroch miejscowy wyszedł z kropidłem, podniósł się do góry prawdziwy las zieleniejących wierzbowych gałązek przewiązanych różnobarwnemi wstążkami. Po ukończeniu ceremonii poświęcenia palm, rozpoczęło się nabożeństwo, towarzyszył mu chór prostych i niekozła, drzwiczki otworzył i nie czekając aż wysiądą sam wskoczył na stopień i siedzące jeszcze uściskał do łez rozrzewniony. Pani Gasztoldowa i Anna wysiadły a wszystko co

U OGNISKA.

I.

Ognisko rodzinne! wyraz magiczny, pełen czaru i cudownych wspomnień! Tego kto uroku jego nie zaznał żałować wypada, bo widocznie sieroca dola przypadła mu w podziale, a los, ten srogi ojczym, żałował mu i skąpił ożywczego płomienia, buchającego równie jaskrawo i grzejącego równie miło, czy płonie na marmurowym kominie zdobnym w herby przodków, czy na glinianem palenisku ubogiéj wieśniaczéj chaty. Kiedy te wyrazy, czytelnicy mili, napisał wasz najpokorniejszy sługa, który wolą wydawcy zamianowan został felietonistą waszym, w oczach jego dym gryzący lat i zawodów, rozczarowań i smutków, słowem cały ciemny, kłębiący się chmurnie, to migocący ogniem pożar walki z życiem, rozwiał się jakby jedną łzą wzruszenia zalany i ugaszony, a na ścianach *kamery obskury* jego pamięci rozwinął się obraz, do którego dusza rwie się jak do raju, jak do cichych niebios jakichś. O! bo *odcinkarz* wasz miał także swe rodzinne ognisko i siadał kiedyś przy niem w gronie, któremu śmierć wydarła jednych a drugich okoliczności, i smutniejsze od śmierci i okoliczności samolubstwo oddaliło! odsunęło od niego.... na zawsze. Dziś sam jeden idzie po ciernistéj drodze, w gwarnem ludzkiém towarzystwie, w obroży mozolnéj pracy na szyi; przyrósł do pióra nie jak żołnierz co sztandar w ręku niesie lecz jak robotnik dźwigajacy wyrobniczą motykę i na samotną zadumę i wyrazy serdeczne będzie mieć tę jedną chwilę na tydzień, w któréj przyjdzie gwarzyć z wami, *ogniskowi* czytelnicy, w któréj ciepłem serc waszych i sympatyi waszéj ogrzany, ze wspomnień rodzinnych więcéj niż z bieżącéj chwili snuć będzie myśli, któremi jak kolorami zabarwić zamierza codzienne fakta kronikarskiéj, felietonowéj natury. Dziś nie zbierał ich nawet, nie myślał że z użytym snopem zdarzeń nowiniarskich ma się koniecznie przy prezentacyi przed wami przedstawiać, ale jak szczery wasz przyjaciel, przychodzi wyspowiadać się z tego co w duszy jego się dzieje i w jakim tonie do was przemawiać zamyśla.

Otóż żeby to wszystko określić, ucieknie się on znowu do do wspomnień rodzinnych, które jak gwiazda przewodnia wiodły go przez bezdroża na gościniec, przez manowce na bitą drogę, „przez błądzenie do poznania“ jak się gdzieś ślicznie wyraził zawcześnie dla piśmiennictwa polskiego zgasły Roman Zmorski,—i z obrazu wyraźnie w „oczach duszy“ malującego się w téj chwili najwierniejszą, o ile słowa pozwolą, zrobi kopią. Sięgnął on w zamierzchłe lata przeszłości, jak śnieżne płatki strząsnął z głowy siwiznę

żyło cisnąć się zaczęło by je powitać. Pani Gatzsoldowa przez całe pół roku nie była w domu, był to ewenement dotąd nie bywały w historyi Zalesia.

— Jak się macie dzieci! wołała na wszystkie strony wzruszona.

— Żyjemy do usług pani, odpowiadano, a pani i panienka czy zdrowe?

— Zdroweśwy, dzięki Bogu, cóż tu u was słychać dzieci?

— A nic, wszystko postaremu, tylko strasznie nudno i pusto było bez pań.

I tak było bez końca, wszczął się hałas, uczonych głosów, ale śpiew ten rzewny znać prosto od serca ku niebu płynął i w kornéj modlitwie stał się u stóp tronu Najwyższego. Ktokolwiek z czytelników moich był kiedy na nabożeństwie w takim wiejskim kościołku, ten wie że nigdzie jak tam podobno modlitwa nie przedstawia się w całym swoim majestacie prostoty i pokory. Kiedy spojrzysz na ten ludek roboczy odświętnie i czysto ubrany, jak w prostocie ducha swego na klęczkach szle korną modlitwę do Pana wszechrzeczy i prosi o tak nie wiele, bo tylko o cokolwiek ulgi w ciężkich, codziennych troskach swoich; gdy ujrzysz na twarzach ogorzałych od skwarnego słońca, uznojonych ciężką pracą, wyrytą tę wiarę spokojną a głęboką; gdy widzisz te postawy uroczyste a korne, i sam uniesiony duchem, myślą ślesz w niebiosa gorącą modlitwę i poszepniesz: „Panie nad pany, dajże i mnie taką ducha prostotę, taką wiarę spokojną!

Po Mszy S-téj ksiądz ukląkł na stopniach ołtarza i zaintonował: Jezu Chryste Panie miły—a z kilkaset piersi zabrzmiał spiew wielkopostny, znany u nas powszechnie, poważny, uroczysty i prosty jak wszystkie nasze kościelne spiewy. Skończył i wszyscy hurmem z kościołka wychodzić zaczęli.

Na wsi jedną z uprzewilejowanych rozrywek świątecznych jest spotkanie się i pogawędka sąsiadów i znajomych po nabożeństwie na cmentarzu przed kościołem. I czy to tam gdzie sam lud prosty się gromadzi, czy przed kościołem katolickim gdzie tłumnie zjeżdzają się obywatele i mieszkańcy zamożniejsi okolicy, jeszcze w dobrą godzinę po nabożeństwie zobaczyć można mnóstwo ludzi stojących na cmentarzu, rozmawiacych z zajęciem o różnych i rozmaitych rzeczach; zwyczaj tem z wielu stron dobry, oby jak najdłużéj się przechował; tutaj to wszyscy parafianie choć raz w tydzień spojrzeć sobie muszą oko w oko, ztąd poszanowanie stosunków sąsiedzkich, dbałość o ludzką przyjaźń i własną opinią, boć przecie taki coby sam jeden chciał lub musiał unikać sąsiadów, stałby się przedmiotem pośmiewiska i wzgardy. Tu jedni drugim udzielają wiadomości z szerszego świata zasięgniętych, radzą się wzajem w kwestyach osobistych lub ogólnych, mówią o rzeczach najbliżéj obchodzącęych i taki podział myśli sprawia, iż każdy wraca do siebie czując się orzeźwiony umysłem; nie jedno sobie przyswoi, z niejednego jakąś korzyść dla siebie wyciągnie i nowy materyał dla myśli sobie zdobędzie. Tak się dzieje na cmentarzu gdzie się zbiera wyższa klasa ludności; podobnie téż jest i tam gdzie się schodzi sam tylko lud wiejski, tylko że jak zakres jego życia ciaśniejszy, tak téż i przedmiot pogawędki chłopków sąsiadów w ciaśniejszém kółku się obraca; treścią ulubioną rozmowy jest to co ich życie stanowi, więc praca i nieustanna troska o chleb powszedni w pocie czoła zasiany, w pocie zebrany, a rzadko w spoczynku spożyty.

I teraz więc przed cerkiewką w Zalesiu stało mnóstwo ludzi, dzieląc się w osobne gromadki, komu z kim było lepiéj—młodzi, jak to zawsze i wszędzie młodzi, bez wesela i śmiechu żyć nie mogą, stali osobném kołem i tam było najgwarniéj; święcona wierzba którą każde trzymało w ręku, była bodźcem do wrzawy i śmiechu; według zwyczaju chłostano się nią nawzajem niemiłosiernie, mówiąc:

Nie ja biję,
Wierzba bije,
Za tydzień
Wielki dzień.

Każdy z parobków gdy uderzał święconą palmą dziewczynę, którą wyróżniał z pomiędzy innych, dodawał jeszcze życzenie:

Bądź wesoła jak wiosna,
A robocza jak lato,
Bądź bogata jak jesień
I zdrowa jak zima.

Starsi podzielili się i stali osobno mężczyźni, a osobno kobiety. Gospodarze gawędzili jak zwykle o roli, zasiewach i paszy; kobiety zaś to o dzieciach, to o bielącém się płótnie, o zasiewie ogrodów, lub wylęgającém się ptastwie domowem. Tą razą jednak nowa i bardzo interesująca przybyła treść do rozmowy: mówiono o powrocie pani z Warszawy, wieść ta jeszcze wczoraj wieś całą łotem błyskawicy obiegła, a była to wieść, mianowicie dla kobiet, niezmiernie radośna. Pani Gasztoldowa umiała być prawdziwą opiekunką swojéj czeladki i nie tylko we dworze, ale i na wsi brak jéj bardzo uczuć się dawał. Wioskowe kobiety tak już były przywykły, że czy to urodziny, czy choroba, czy śmierć w któréj chacie się wydarzy, gospodyni biegła prosto choćby i wśród nocy do dworu, a tam wszystko się znalazło co było potrzeba; zwykle w ważniejszych wypadkach sama pani natychmiast jechała na wieś pomoc i radę wioząc, a choćby był jaki popłoch w chacie, jak tylko pani Gasztoldowa stanęła na progu, natychmiast wszyscy nabierali otuchy i pewności, spełniając ślepo jéj rozporządzenia, tak wierzono w jéj nieomylność i znawstwo. A podczas pobytu jéj w Warszawie, chociaż i felczer i apteczka były we dworze, to jednak kiedy kto zachorował ciężko mawiano sobie: „gdyby pani była, to pewnoby coś na to poradziła i zdrów byłby od dawna“, gdy kto umarł: „bo pani niema, nie było komu go poratować.“ Nic więc dziwnego że z serdeczną uciechą przyjęto wiadomość o powrocie pani i panienki, bo to właśnie i przednowek nadchodził, a wiadomo że z nim u niejednego w okienko niedostatek zapuka; w biedzie najprędzéj pani i panienka poratują: pani każe wydać ze spiżarni coś na przekarmienie dzieci, a panienka, która w takich razach sama brała klucze i szła wydawać, zawsze jeszcze podwoi, albo i potroi zaasygnowaną miarkę. Pani Gasztoldowa udawała że nie widzi téj malwersacyi Anny i nie wstrzymywała wcale jej szczodrobliwości, owszem sama nieraz nasuwała jéj zręczność po temu; wiedząc że ludek nasz

---

która włos przyprusza i przypomniał sobie jakiś jesienny czy zimowy długi wieczór u *domowego ogniska*. Scena odbywa się w szerokiej komnacie szlacheckiego dworku. Płócienny, zwieszający się ku środkowi sufit, przyozdobiony malowaną w zielone arabeski rozetą rozściela się wsparty na kwadracie drewnianych ścian, pod któremi rzędem ścisłym i zwartym uszykowane meble w stylu *empire*, wyglądają jak lamperya jakaś nieruchomie poważna lub jak kanonickie stalle w katedralnym starym kościele. Na ścianach sztychy: tu książe Józef rzuca się w Elsterę, a wypisana pod spodem legenda dźwięczy świętem uczuciem bohaterskiej czci dla żołnierskiego honoru; tam rekrut przemawia do małego *kaprala*: „on ne passe pas“ i bagnet kładzie na zrębie skały; tam znowu Hogartowska „modna żona“ w angielskim miedziorycie wyciąga się znużona balem wczorajszym; indziej w kątku, przy oknie, nad kępą rozmarynu, różowego lauru i kolczastych aloesów wyziera twarz Bogarodzicy Częstochowskiej i migającym płomieniem płonącej lampki blaski złotej sukienki rozrzuca po liściach i kwiatach. Na środku pokoju duży machoniowy stół o dwóch zwieszonych klapach, które wieczorem podnosiły dzieciaki i wspierały na wysuniętych u spodu drążkach, a w około też same co pod ścianami krzesła i fotele. Naprzeciw okien weneckich, szerokich, zamykanych na noc zewnętrznemi okiennicami dębowemi, wielki kapiasty komin zajmował honorowe miejsce, oparty o ścianę wyskakującą na pokój pewną prostokątną wypukłością, mieszczącą w sobie zbiorowisko dymnych kanałów całego domu. U spodu okalały go kafle zielone, u góry gipsatury z orłami, nad daehem zaś wystającym naprzód, wisiał w czarnych ramach portret jakiejś „babci“, która z pod loków i fryzury *à la Pompadour* uśmiechała się dobrodusznie, szczerze, poczciwie, przyjaźnie, jak na matronę wypadało. Mój Boże! ile razy sobie ten uśmiech przypomnę, nie pojmuję jak się wyraz wesołości przez wieki mógł tak odmienić, jak prawnuczki tych prababek śmiać się nie umieją i jak im z rozwartemi ustami nie do twarzy wcale. Na kominie niebieskie płomyki migotały ponad czerwonym żarem, lekko białym, delikatnym popiołem przysutym. Pod kafelkami leżał Bryś ogromny, tłusty, kudłaty, zaspany łeb opierający na jasnokościstym boku wysmukłéj, rudéj charcicy, która w pojedynkę brała zająca, a na wilki miała chrypkę i odwagę niemałą. Przy stole siedzieliśmy my, całe gronko rodzinne; ojciec palący fajkę na długim wiśniowym cybuchu, babka dziergająca siatkę, matka haftująca poduszkę w kwiaty, siostry na drewnianych drutach robiące szale i kołderki, chłopcy przerysowujące konie i psy *Adama*, chatki i pejzarzyki *Calama*, lub dwukredowe główki *Juliana*, a z kolei jedno po drugiem brało

jest z natury nie bardzo zabiegliwy, psuć go nie chciała zbyt łatwą pomocą, ale zostawiała Annie przywiléj łaski. Więc przy takich warunkach uciecha była szczera, cała gromada uczuwała pewną jakąś otuchę, jakby duch opiekuńczy stanął pomiędzy niemi, kobiety weseléj spoglądały na drobną dziatwę, co przy ich nogach w zgrzebnych ale czystych koszulkach czerwoną życzką przepasanych pełzała po ziemi, drobnemi rączynami skubiąc trawkę zieloną.

Z koła gospodarzy odezwał się Grzegorz Zawierzeniec, najzamożniéjszy z Zaleśniańskiéj włości.

— A słuchajcie tam gospodynie, toż to nasza pani przyjechała, należało by gromadzie pójść powitać.

— A jakże, koniecznie potrzeba, odpowiedziały tłumnie kobiety.

— To pójdziemy do dworu dzisiaj po nieszporach z wołoczebnem.

— Dobrze ojcze, dobrze, dzisiaj niechaj cała gromada idzie razem.

Wszyscy Zaleśniańscy ludzie zeszli się do gromadki i zaczęto radzić jak się zebrać i pójść do dworu. Już to przyznać potrzeba, że wszytkie klasy naszego narodu i radzić i na naradzie wiele czasu trawić lubią; i tutaj, chociaż w kilku słowach plan wyprawy zdawał się dostatecznie osnuty, jednakże dużo długich było debatów. Ludzie rozeszli się nakoniec i na tem stanęło, że wszyscy się zbiorą na nieszpory i wraz po nabożeństwie razem pójdą do dworu; na odchodném Grzegorz zawołał jeszcze:

— A pamiętajcie tam gosdodynie z wołoczebnem wstydu gromadzie nie zrobić, wiosna wczesna, kury jaj już sporo naniosły.

— Nie bójcie się ojcze. Boże kochany! a któżby tam dla pani i panienki marnych jaj pożałował, odpowiedziały kobiety.

Dworscy co byli na mszy przynieśli do dworu wiadomość o tem że gromada na przyjść powitać panią i panienkę; pani Gasztoldowéj zrobiło to szczerą przyjemność. Jeżeli ją kochał ten ludek, to i ona niemniéj sercem lgnęła do niego, wżyła się jego życie, znała i rozumiała wszystkie jego potrzoby, troski i pociechy i był on jéj miłym, jakby serca bliskim. Wydała rozporządzenie, ażeby gościnnie przyjąć gromadę; posłano więc po beczkę piwa do karczmy, ze spichlerza wytoczono baryłkę wódki, ustawiono stoły około ganku, przykryto je białemi obrusami i ostawiano ławkami, na stole leżł stos krajanek chleba, z racyi postu o innéj zakąsce na razie myśleć było trudno. Pan Gasztold nie mógł się nacieszyć jeszcze swoją jedynaczką, za którą tak długo tęsknił, poprowadził Annę do swego pokoju, odsunął szufladę w biurku prawie pełną samych złotówek, które dziś właśnie przyniosł żyd Lejzor płacąc kwartalną arendę, kazał Annie nastawić kieszonkę od sukni i wsypał w nią dwie spore garście srebrnéj monety, żeby miała co do rozdania pomiędzy kobiety i dzieci wioskowe. Zaledwie ukończono przygotowania, kiedy od strony wsi ukazali się oczekiwani goście i wkrótce cały dziedziniec zapełniony został ludem czysto i strojnie ubranym. Na czele włościanskiéj gromady szedł Grzegorz Zawierzeniec, miał na sobie siwą sukmanę, przepasaną amarantowym szerokim pasem wełnianym, na wierzch włożył drugą takąż samą tylko obszerniejszą, ktòra wolno na nim wisiała; spodnia sukmana trochę otwarta na piersiach, odsłaniała białą koszulę związaną pod szyją sutym węzłem czerwonéj wełnianéj taśmy życzką zwanej, na głowie miał wysoką czapkę z czarnego baranka z sukiennym wierzchem, z boku baranek u góry był trochę rozcięty, a przy rozcięciu kraśniały dwie kokardy z czerwonéj jedwabnéj wstążeczki. Strój ten charakterystyczny, a dotąd stale przechowany w niektórych miejscowościach naszego kraju, pięknie ubierał lud zaleśniański dorodnego wzrostu i hożéj postawy. Za Grzegorzem postępowała liczna drużyna różnego wieku i płci, a każde niosło w ręku kolorową chustkę pełną świeżych jaj, zwykły wielkanocny podarek, wołoczebnem zwany. Pani Gasztoldowa z Anną zeszły z ganku, a wszyscy cisnąć się do nich zaczęli i witać całując ich ręce z takim szczerem uśmiechem niekłamanéj radości, że obydwóm łzy w oczach stanęły; włościanie złożyli na stole swoje podarunki, a w zamian zaczął się suty poczęstunek, pani Gasztoldowa i Anna wmięszały się pomiędzy włościan, którzy obstąpili je do koła. Pani Gasztoldowa z żywem zajęciem rozpytywała się szczegółowo o wszystko co zaszło w ich życiu w czasie jéj niebytności; kobiety opowiadały jéj wszystko ze zwykłą sobie drobiazgowością, i pociechy i troski swoje. Jedna się chwaliła że aż na trzy sukmany sukna téj zimy utkała, druga opowiadała jak jéj Teodorek o mało co nie umarł, tak ciężko na szkarlatynę chorował i dopiero jak dała na Mszę S-tą i krzyżem leżała, teraz całe nabożeństwo, to mu się zaczęło lepiéj cokolwiek robić; inna jeszcze prezentowała pani podczas jéj nieobecności narodzone dziecię, które owinięte w połę od sukmany spało sobie najspokojniéj przy piersi matczynéj. W ciągu zimy skojarzyło się kilka małżeństw, młodzi małżonkowie podeszli i pokłonili się pani o błogosławieństwo, pani Gasztoldowa każdą parę błogosławiła i każdéj powiedziała kilka słów zachęty i nauki, aby żyli w jedności i zgodzie, i w pracy poczciwéj a statecznéj starali się zasłużyć na dobre słowo u ludzi i starość spokojną. Anna była także mocno zajęta, rozmawiała z dziewczętami, pieściła i bawiła się z dziećmi a hojną ręką rozdawała pomiędzy nich Lejzorowe złotówki. Gasztold gawędził ze starszyzną o zasiewach, o roli, a tymczasem poczęstne nie ustawało; na dziedzińcu coraz gwarniéj się robiło i gdyby nie post święty, przy takiém ogólném wesołém usposobieniu nie obeszłoby się bez tańca. Wśród takiéj ochoty niktsię nie spostrzegł, że się ku wieczorowi chyliło, i dopiero kiedy i we wsi ozwał się dzwon wzywający na Anioł Pański, kobiety przypomniały sobie, że pora wracać do domu. Tam na nie tyle rzeczy czekało: krówki jeszcze nie dojone, owce i ptastwo nie zapędzone na nocleg, wieczerza nieugotowana i różne inne drobne a niezbędne prace. Zaczęto się ruszać do odejścia, żegnać i dziękować państwu za serdeczne przyjęcie. Lud nasz poczciwy i serdeczny z natury, z dziwną łatwością przywiązuje się do tych, co mu serce i uczucia ludzkie okazują, a umie być za nie wdzięczny, byle postępowanie z nim było sprawiedliwem i nie fantazyą się rządziło. Chłop nasz obdarzony z natury

---

Pana Tadeusza do ręki i czytało jak:

„.......Wszystkim się zdawało,
„Że Wojski wciąż gra jeszce, a to echo grało.“

lub że „było cymbalistów wielu,“ lub że kiedy generał Kniaziewicz wywijał *scyzorykiem* w powietrzu „...Rębajło, już klęczał, objął go za kolana i ze łzami jęczał....“ Wasz pokorny sługa na małym stołeczku siedzący, głową oparty na kolanach ojca lub matki, zapatrzony w złotawą lub rumianą zmienność ognistych płomyków, chwytał uchem te czarowne dźwięki. Otóż z owych wspomnień ułożyło mu się w głowie pojęcie domowego ogniska, tak trwałe, że przychodząc dziś w innéj epoce, zupełnie do opisanej podobnej, bierze on z mogiły swojego serca kwiaty i te składa u stóp matek, którym „Ognisko Domowe“ redaktor pisma tego poświęcił.

Nie myślcie jednak czytelniczki, że w następnych numerach będę z wami gwarzył tylko o przeszłości i obrazy jej przed wami wywoływał; nie—zaprawdę. O ile możności w odcinkach moich postaram się zdawać sprawę z wszystkiego, co zajmować może umysły i serca, co na nowych drogach wybitniejszego i godniejszego uwagi dopatrzę. Będę śledził każdy zamiar mogący przetworzyć się w czyn korzystny i plenny złotem ziarnem wiedzy, postępu, piękna i dobra. Będę starać się felietonową różnowzorą tkaninę, do arlekińskiego stroju podobną, zszywać z łatek mniej więcej jaskrawych, któreby cechą swoją i materyałem samym budziły waszą ciekawość i wiązały was życzliwością z piszącym. Tylko do tego potrzeba jednej rzeczy Szanowne Panie—a używając przymiotnika *szanowne*, nie obejmuję nim samych zacnych i poważnych matron, lecz zarazem wszystkie młode, śliczne, rozumne, wykształcone, rozsądne damy i panienki—ażebyście przyjaznem sercem, radą, korrespondencyą, współuczuciem wspierały waszego *nowiniarza*. Przyznajcie łaskawie, że nader często w życiu towarzyskiem waszem, po spełnieniu wszystkich najświętszych obowiązków, potrzebujecie chwili rozrywki i z przyjemnością witacie w kole rodzinnem przybyłego gościa lub kuzyna, opowiadającego wam przeróżne *ploteczki*. Otóż takim plotkarzem urzędowym, cotygodniowym, stanie się dla was czytelniczki miłe felietonista „Domowego Ogniska“, który może pomyli się czasem, osobliwie w fakcie samym, ale jednak we wspomnieniach czerpiąc wiarę do tego co dla was pisać zamierza, ma przytem wrodzoną cześć dla kobiety; po dziś dzień nie w modnem i realnem uwielbieniu jej wdzięków, lecz w czarze dziecinnych marzeń widzi ją, a w młodzieńczych uniesieniach, pomimo białego szronu srebrzącego mu głowę, kładzie jej aureolę przyświecającą na czołach bohaterek naszéj nieskalanej poezyi, i tylko domyślą jego uwieńczonej w czystość, przemawiać

prostym, ale niezmiernie zdrowym trafnym rozsądkiem, z łatwością ocenia i po swojemu ale sprawiedliwie sądzi ludzi z któremi ma do czynienia; niesprawiedliwość go oburza i jątrzy, ale za to niewiele, bo tylko trochę serdecznéj prawdy potrzeba, ażeby go ująć zupełnie; wtedy mięknie jak wosk i niezmiernie łatwo kierować się daje, byle ten kierunek był rozumny i dobrze obmyślany. Włościanie zaleśniańscy odchodzili ze dworu radzi i wdzięczni, i na długo przechowali pamięć łaskawości i serca państwa.

Wielki tydzień na wsi ma swój charakter odrębny, niezmiernie ożywiony i miły, zwłaszcza dla tych co są zżyci z wiejskiem życiem i w nie wcieleni; odradzająca się wiosna i przygotowania do świąt uroczystych składają się na to, że każdemu w dniach tych jakoś raźniéj i weseléj na duszy się robi. W naszym kraju każda uroczystość doroczna, tak familijna jak ogólna, każdy zwyczaj narodowy przechowanym jest z poszanowaniem prawdziwie religijnem, takiem, jakiem się już nie poszczycą podobno inne narady, przeżarte na wskróś wysuszającemi serce i duszę dokrynami dzisiejszego stulecia które, uwierzyło w bóstwo rozumu. Na widok tego jak u nas wszystkie od najniższéj do najwyższéj warstwy społeczne stoją jeszcze stale na straży narodowego zwyczaju i deptać go bezmyślnéj ga wiedzi nie dają, jak na hasło każdéj ważniejszéj uroczystości dorocznej gromadzi się choćby jak rozproszona po świecie rodzina, by w kółku ukochanych ją uczcić, w prawym umyśle dobréj woli człowieka rosnie otucha, że w taką tarczę zbrojną pierś naszéj społeczności, nie przebiją tak łatwo zatrute groty zachodniego pozytywizmu. Przechowanie tych dorocznych zwyczajów i pamiątek wyłącznie w kobiet ręku.—O! gdyby chciały zrozumieć całą potężną doniosłość tych rzeczy tak drobnych na pozór.—Pani Gasztoldowa była jedną z tych niewiast błogosławionych i pojmowała w zupełności ważność swojego w tém zadania; w jéj domu nic nie opuszczono z obrządków, zwyczajów, ani na jotę nie uchybiono im lekceważeniem; można więc sobie łatwo wyobrazić jaki ruch był i życie przez cały wielki tydzień w Zalesiu. W wielbi poniedziałek rozpoczęto czynność całego tygodnia od zamiatania i wyprzątania jak najstaranniéj całego dworu: dziedzińca, ogrodu, wszystkich poddaszy i najciaśniejszych zakątków zabudowań dworskich.

Kilkadziesiąt dziatwy wioskowéj pod nadzorem starszych dworskich ochoczo to robiło, bo po nad stawem, na uboczu, bardzo zachęcająco kurzyło się z dwóch wielkich kotłów miedzianych: w jednym syczała gęsta kwaszona kapusta z grzybami zakraszona olejem, a w drugim krupnik jęczmienny z ziemniakami. Dziatwa uwijała się jak mrówki i łaso na kotły spoglądała: to dla nich przygotowyj wał się posiłek, a na wiosnę nie w każdéchacie i nie codzień z takim smakowitym spotkać się było można. Pani Gasztoldowa sama poszła do lamusu i przy sobie kazała oddzielić z wędlin i mięsiw rozmaicie przygotowanych to, co miało być użyte na święcone. Oczyszczono dwie izdebki przy piekarni, wybielono na nowo w nich ściany, podłogę starannie umytą posypano żółtym piaskiem i ustawiono stoły i ławki czyściutkie, a już od wtorku Anna w perkalowéj sukience z zakasanemi rękawami, w białym fartuszku uwijała się około pieczywa, wspomagana przez Wiechniakowską cztery wioskowe dziewczęta za najzwinieisze uważane. Sama pani Gasztoldowa w ważnych tylko okolicznościach zjawiała się w téw laboratorium, zdawszy na Annę i całą odpowiedzialność i chlubę z tegorocznego święconego. Chodziło jéj o przymusową rozrywkę dla osamotnionéj i ciągle jeszcze tęskniącej za Wandą dzieweczki. Anna wzięła się do roboty żwawo i z przyjemnością prawdziwą; nie mogła się dotąd nacieszyć powrotem do Zalesia, tém że się znalazła znowu w tém ątoczeniu do którego przzywykła, z którém się zrosła; uciechę jéj psuła tylko dojmująca myśl o Wandzie, w niéj mieszała się i tęsknota i gorycz zarazem. — Zajęcie około święconego nad wyraz miło jéj było, wcielało to ją nazad w to życie, z którego tak zupełnie w brew jéj upodobaniu okoliczności ją były wyrwały, a i chlubę czuła nie małą: pierwszy to raz sama o własnych siłach miała dokonać pracy, stanowiącéj niejako w obec całego sąsiedztwa probierz jéj umiejętności gospodarczéj. Więc nie na żarty szła gorąca robota: dźwięk moździerzów, nożów siekanie przez okna otwarte rozchodziły się po dziedzińcu; dziewczęta jedne cukier tłukły lub siekały migdały, inne wybijały ciasto tak silnie, że aż ściany się trzęsły, Wiechniakowska to oddzielała jaja, to pianę biła, a Anna wczytywała się w ogromną arkuszowych rozmiarów księgę z przepisami, z których wiele jeszcze ręką jéj prababki było wpisanych i czuwała z drobiazgową punktualnością, ażeby zachowano wszystkie wskazówki ajkie te przepisy zastrzegały, w krytycznych zaś lub wątpliwych chwilach odwołując się do dezycyi matki lub kucharza, który ze swéj strony niezmiernie był zajęty przygotowaniem różnorodnego mięsiwa.—Któż tam policzy ile to obawy, niepokojów, aniejednokrotnie przykrych zawodów doświadczyć musi taka gosposia w ostatnich dniach wielkiego tygodnia nieurojonych poniekąd, boć przecie gdy się praca nie uda to i szkoda niemała a i niepszyjemność istotna. W święta sąsiedzi się zjadą, czemże ich przyjmie, czem uczęstuje, a śmiejcie się jak chcecie czytelnicy, toś miłość własna nie pozwala na to, by zasłużyć sobie na opinią niezdarnéj gospodyni. Wszystkie te obawy i nasza Anna przebyła, lecz za to z jakąż szczerą uciechą klasnęła w ręce zarumieniona radością, kiedy nakoniec w wielką sobotę zniesiono wszystko razem do przeznaczonego na to pokoju dla ustawienia stołu i okazało się, że wszystkie ciasta niezwykłym sposobem się udały, tak przynajmniej z pozoru i małych próbek się wydawało. Babki, choć łokciowéj wysokości, lekkie były, że w ręku ich było nie czuć, mazurki kruche i prześlicznie udekorowane ponętnym pozorem z daleka nęciły, placki pulchne, wybornie wypieczone—i jakże się to było nie cieszyć. Śliczna nasza gosposia ustawiwszy stół ozdobnie i z gustem, strudzona ale spokojna odetchnęła swobodnie. Pod wieczór nadjechał ksiądz proboszcz, przygotowaną ucztę poświęcił, poczem stół obszedł raz jeszcze, chwalił i podziwiał dorodne babki, pięknie ubrane mazury, a podziwiał tém bardziej, gdy się dowiedział, że to wszystko jest pierwszém dziełem ulubionéj mu Aneczki, którą chrzcił niegdyś, potém do pierwszéj komunii doprowadził, a teraz pytał zarumienionéj, kiedy przy ślubie pobłogosławi. Ksiądz proboszcz gawędził a tymczasem do jego bryczki wstawiono króbkę, w którą Anna własną ręką ostrożnie upakowała wyborną babkę, kilka mazurków, parę cietrzewi pieczonych, tłustego indyka ze słodkiem nadzieniem—zwykła to ofiara parafijanek na święcone dla księdza proboszcza, na które składano się czem kto mógł. Po wyjeździe proboszcza Gasztold siadł na konia i pojechał do Starego dworu prosić pani Zadorowéj i Janusza ażeby raczyli nazajutrz prosto ze mszy przyjechać na święcone jajko do Zalesia. Na uprzejmą prośbę sąsiada pani Zadorowa zafrasowała się nieco; wyjechać od rana z domu w pierwszy dzień Wielkiej nocy nie tak to łatwo; jakżeż podług zwyczaju nie podzielić się jajkiem ze swoją czeladką; ale Janusz z po za ramienia Gasztolda dał jéj znak proszący ażeby się zgodziła; ułożono więc że

---

pragnie. Chcąc wam jednak urozmaicić swoje tygodniowe sprawozdania odgłosami rozrywek i zabawy, echami ze świata i gwarnem tętnem życia ulicy, czasami jaskrawe kolory mięszać będzie z ciemnemi na swojéj felietonistycznej palecie i wtedy, jak tęcza mieni się barwami, tak on mienić się będzie w grze wyrazów, bez półcieni jednak i bez żadnéj dwulicowości. Wierzajcie mi, że w naiwności dorównywając dziecku, strzeże się on zawsze fałszywych i dwuznacznych tonów, a swawoląc językiem, swawoli tylko „jakby za pokutę.“ Dawniej, w młodości, nie lubiał on frazesów przebrzmiewających głucho, niedosłyszanych wyrażeń, lubował się w gimnastyce zwrotów pisarskich a w samym stylu jego była pewna wiara w to co pisze i w tych dla których pisze. Żeby tę wiarę przywrócić na nowo, czytelniczki miłe, dużo mi zaufania z waszej strony potrzeba, dużo też sympatyi, która z pisarza robi narzędzie do wyrażania uczuć publicznych. Wsparty na waszej pomocy i protekcyi, sunąć będę piórem po papierze w takt z biciem waszego serca. Zamierzam bowiem skrzętnie rachować te szlachetne uderzenia, harmonizujące z uczuciem prawdy, z miłosierdziem, miłością kraju i bliźniego.

A teraz, kiedy w tych wstępnych wyrazach nakreśliłem program treści i formy, jąką posługiwać się zamierzam w tygodniowej kronice sprawozdawczej „Ogniska,“ odkładam nowiny do następnego numeru i z wiarą w sercu, kończę starodawnem powitaniem: „Niech będzie pochwalony!“

X—i.

Zadorowie wracając z kościoła zajadą na chwilę do domu, a zaraz po dopełnieniu zwyczaju pośpieszą do Zalesia.

Była zaledwie siódma godzina z rana, a w kościele i na cmentarzu ludzi było już mnóstwo, koło cmentarnego płotu stało tak wiele powozów, bryczek i wozów, że zawrócić było trudno. Były tam i eleganckie warszawskie koczyki świeżego fasonu, i odwiecznie landary kołyszące się na stojących resorach, i kawalerskie nejtyczanki, najpraktyczniejsze podobno na teraźniejszą drogę; w bramie cmentarnéj stało kilku młodzieży, obyczajem już podobno na całym świecie przyjętym, wypatrujących przybycia znajomych panien, pomiędzy niemi stał także i Janusz Zadora. Właśnie zadzwoniono na rezurekcyą, kiedy dało się słyszeć głośne kilkakrotne klaskanie z bata i przed kościół zajechał w pędzie powóz państwa Gasztoldów. Janusz przystąpił do drzwiczek i podał obie ręce naipierw wysiadającej Annie, która zarumieniona jak jagódka wyskoczyła lekko, opierając się na jego ramieniu; Janusz witał ją wesoło i serdecznie; za Anną wysiadła pani Gasztoldowa, a na końcu sam Gasztold. Młodzież zaczęła witać dawno niewidziane panie, a każdy miłém okiem spoglądał na śliczną pannę Annę, która wydawała im się jeszcze piękniejszą niż pierwej. Panie pośpieszyły do kościoła przez zakrystyę, bo przez wielkie drzwi wcisnąć się już było niepodobna, za niemi pociągnęli Gasztold z Januszem.

Rozpoczęło się nabożeństwo, wyszła processya ze światłem i rozwiniętemi chorągwiami, proboszcza niosącego monstrancyą prowadzili z jednéj strony Gasztold, z drugiej podkomorzy Murski, ośmdziesięcioletni starzec w mundurze województwa na tę uroczystośc przez lat wiele starannie przechowywanym, baldachin po nad celebrantem nieśli Janusz i trzech innych młodych obywateli. Ksiądz zaintonował: „Wesoły nam dziś dzień nastał" a lud z całych piersi kończył: „Chrystus z martwych powstał, Alleluja"! Na cmentarzu huknęły gęste wystrzały ze stryelb mysliwskich, na salwy uderzono we wszystkie dzwony, processya wyszła na cmentarz i trzykrotném kołem obchodziła kościół; na czele ludu szedł kapłan siwiwłosy starzec i z uroczystém namaszczeniem niosł Przenajświętrzy Sakrament, za nim lud postępował zwolna i spiewał hymn radośny; huk salw, echo dzwonów szły rozgłośnie po dalekiéj okolicy i wzbijały się prosto w niebiosa.—Ranek był prześliczny, pogodny i jasny, a taki wesoły jakby i natura na hasło Zmartwychstania Zbawiciela zbudziła się z odrętwienia i wesoła, szczęśliwa, niosła także Panu i Stwórcy cześć swoją. Każdy z asystujących łączył głos swój z chórem ogólnym, z głębi serca śpiewał wesołe Alleluja, było mu błogo i radośnie, a w duszy własnej żywo uczuwał cud zbawienia ludzkości.

Po Mszy lud tłumnie wychodził z kościoła i rozsypał się po cmentarzu, na którym od zakrysyti aż do saméj bramy stały rządem króbki odkryte, w których kraśniały farbowane jaja, placki i pierogi, z chrzanem w zębach prosięta, sery, kiełbasy; wszystko to przez włościan i szlachtę zagrodową przywiezione do do poświęcenia, oczekiwało aż ksiądz proboszcz wyjdzie z kościoła, wodą święconą pokropi i pobłogosławi. Na cmentarzu gwar, głośna rozmowa, sąsiedzi odszukują się w tłumie, witają, winszują sobie nawzajem, zewsząd słychać głosy: „Chrystus zmartwychwstał—daj Boże na przyszły rok szczęścia doczekać!" odpowiadano: „Zaiste zmartwychwstał! dziękuję sąsiedzie, szczęścia życzę nawzajem i pomyślności wszelkiej.—Umawiano się u kogo którego dnia zjechać się miano, Gasztoldowie zaprosili bliższych sąsiadów do siebie na podwieczorek dzisiejszego dnia, obywatele parafijanie tłumnie pociągnęli na plebanię do proboszcza. Ks. proboszcz już czekał w progu trzymając w ręku półmisek pełen pokrajanych jaj, sędziwy kapłan parafijanom swoim winszował, błogosławił i pierwszy rozpoczął starodawnym zwyczajem uświęconą ceremonią dzielenia się święconém jajkiem. Tu nowe uściski, nowe życzenia, gawędka, i trwałoby to może długo, gdyby panie nie zaczęły nawoływać mężów do odjazdu: dworscy ludzie czekali na śniadanie; bez podzielenia się pierwéj święconém jajkiem, niktby w usta nic wziąść nie chciał, a zwyczaj nakazuje, że gospodarz domu pierwszy dzielić się zaczyna. *(D. c. n.)*

Jeszcze kilka rysów z życia Dickensa.

Tyle pisano już o Dickensie!... Gdyby zebrać wszystko co prassa europejska wypowiedziała o życiu i utworach tego pisarza, nie lada powstałaby podobno biblioteka;—a jednak życie prawdziwie znakomitych ludzi ma do siebie to co i ich dzieła: im się bardziej w niem człowiek zagłębia, im dłużej się rozpatruje,— tem więcej znajduje w niem stron pięknych, pouczających, a tak nowych, jak gdyby mu się po raz pierwszy dopiero przyglądał.

My też nie myślimy tutaj kreślić oficyalnego życiorysu pisarza, ani wyliczać, ważyć i szacować zasług jego na polu literatury,—zrobili to już inni lepiej niż my byśmy może zdołali. Naszym zamiarem jest tutaj jedynie podnieść parę stron jego życia innej zupełnie natury; chcielibyśmy przedstawić Dickensa, że się tak wyrazimy, w charakterze jego prywatnym. zakulisowym, a mianowicie jako wydawcę i redaktora w stosunku do współpracowników, i jako przyjaciela i członka rodziny w stosunku do najbliższego jego otoczenia;—jednem słowem, chcielibyśmy ukazać Dickensa „u domowego ogniska".

Już to podobno żaden z pisarzy w prywatnych stosunkach nie korzystał tak mało jak Dickens z przywilejów swoich pisarskich, z tryumfów na arenie literatury zyskanych. Każdy komu się w bliższe stosunki z nim wejść zdarzyło, zapominał niebawem że ma do czynienia nie już ze znakomitym pisarzem, ale z człowiekiem który kiedykolwiek w życiu cokolwiek bądź napisał. Dickens wywierał przeważny wpływ na wszystko co go otaczało zbliska, ale przewaga ta nie promieniała bynajmniej z aureoli wielkiego pisarza,—był to raczej urok, jaki tak bogata jak jego i tak hojnie pod każdym względem uposażona natura, wywierać musi na wszystko, co się z nią zetknie.

Stosunek jego, jako wydawcy i redaktora „*Household Words*" i „*All the Year Round*" do współpracowników nie miał w sobie nic sztywnego, urzędowego. Hojny pod względem wynagrodzenia, Dickens był obok tego nadzwyczaj względnym i delikatnym dla swoich współpracowników, tym samym szacunkiem, jaki miał w ogóle dla literatury, otaczająć i jej przedstawicieli. Przedewszystkiem chodziło mu o to, aby nikt w redakcyi nie czuł się skrępowanym; pochwałą, uznaniem, zachętą, umiał zawsze pobudzić do tego, że każdy pracował dla dziennika chętnie, i o ile mógł tylko jak najlepiej. Gdy się go kto zapytywał, czyby nie był dobrym taki a taki artykuł, zwykł był odpowiadać: „Dla mnie wszystko będzie dobrem, co pan sądzisz iż dobrze napisać potrafisz, a obaj się przecież rozumiemy na tem o tyle, aby z przedmiotu tego jak największą obustronną korzyść wyciągnąć."

Obok tego, jako wydawca, posiadał on w wysokim stopniu poczucie osobistej odpowiedzialności i w wydawnictwach jego, w każdym zeszycie czy numerze, mimo rozmaitości treści i autorów, widzimy wyraźnie wybitą jego własną indywidualność. Z szczególniejszą troskliwością wydawał zeszyty, do których sam nic nie pisał; częstokroć przyjmował artykuł od jakiegoś młodego i niewprawnego pisarza, dla jednej jakiejś myśli w nim zawartej, dla której nie żałował trudu i pracy około zupełnego częstokroć tego artykułu przerobienia. „Musiałem dziś z rana,—pisze w jednym z listów swoich z r. 1856—całe jedno opowiadanie do „*Household Words*" w pewną formę zbić i ociosać, co mnie cztery godziny natężonej pracy kosztowało; a jednak ostatecznie byłem w rozpaczy z powodu braku związku jaki w niem pozostał i na okropny widok szpalt z korrektą, które wyglądały niby rybacka sieć z atramentu."

Z innego listu widzimy znów, w jakie kłopoty wprawił go pomysł wydania na Gwiazdkę całego szeregu powieści, pióra rozmaitych pisarzy, ale według skreślonego przez niego samego ogólnego planu i myśli przewodniej. „Do tej pory—pisze pod datą 25 listopada—nie otrzymałem ani jednej powieści, którąby choć trochę harmonizowała z myślą zasadniczą (najprostszą w świecie i którą sam jak najdokładniej na piśmie rozwinąłem), a każda z nich przez dziwną jakąś fatalność, kręci się około procesu kryminalnego".....

Jedną z największych jego przyjemności było, gdy odkrył jaki młody talent pisarski, a z szczególniejszem zamiłowaniem lubił protegować młodych powieściopisarzy.

Obchodziły go żywo sprawy publiczne, ale do służby publicznej nie czuł ani począ-

gu, ani zdolności. Nie chciał też nigdy stanąć jako kandydat do parlamentu, chociaż kilkakrotnie odbierał w tej mierze propozycye. „Nie mam żadnej pod tym względem wątpliwości,—pisał jednego razu,—gdyż miałem często sposobność rozważenia tej rzeczy, iż w zakresie mego powołania mogę działać daleko skuteczniej i niezależniej, aniżeli w izbie niższej, i nie sądzę aby kiedykolwiek mógł mnie jakiś wzgląd zniewolić, do zostania członkiem tego nadzwyczajnego zgromadzenia.“ Zawsze jednak, do ostatniej chwili, o ile tylko było w jego mocy, popierał wszelkie praktyczne reformy społeczne, starał się o wprowadzenie skuteczniejszych ustaw sanitarnych, o zaprowadzenie systemu przymusowego nauczania dla ubogich, o poprawę położenia klas pracujących. Gotowość z jaką przyjmował przewodnictwo na zgromadzeniach w tych celach się zbierających, pomoc jakiej udzielał towarzystwom dobroczynnym, wreszcie siła i urok wymowy, czyniły go człowiekiem arcy wpływowym.

Nigdy, a zwłaszcza w dojrzalszych latach, nie lubił być sam. Gdy mu przyszła jaka myśl do romansu i zostawał pod jej wpływem, zaczynał często mówić o tem, że się musi zamknąć w jakiem miejscu samotnem, ale nie ruszył się nigdzie, żeby mu nie towarzyszył ktoś z rodziny. Nigdy też i nigdzie nie rozstawał ze zwyczajami codziennego swego życia. W Albano i Genui, w Lozannie i Genewie, w Paryżu i w Boulogne, żył zupełnie na ten sam sposób jak w domu, w Londynie i Broadstairs. Wszystko cokolwiek się działo w obrębie ścian domowych, od najważniejszych do najdrobniejszych rzeczy, interesowało go do najwyższego stopnia. Nikt bardziej niż on nie mógł być z natury usposobionym do kosztowania szczęścia w życiu domowem. Nawet ta strona zajęć domowych, która zwykle do działu kobiecego należy, zajmowała go wielce. Gdziekolwiek mieszkał, musiał wiedzieć o każdym gwoździu wbitym w ścianę. Nie było tak drobnej rzeczy, którejby nie uważał za godną zajęcia się nią osobiście. Czy to szło o urządzenie teatru dla dzieci, czy o zabawę dla dorosłych, czy o obiad, ćwiczenia gimnastyczne lub wyprawienie balu, on był wszystkiego duszą i organizatorem. Nigdy nie zastanawiał się nad mniejszą lub większą ważnością jakiejś rzeczy. To że coś musiało być zrobione, było dlań dostatecznym powodem aby to zrobić, jak gdyby nic innego na świecie nie miał do roboty. Ztąd poszło, że w domowem jego kółku we wszystkiem się na niego spuszczano. We wszystkich trudnościach i biedach domowych, on zawsze wszystkim dodawał otuchy, i było w rodzinie jego przekonanie, że nic chybić nie może, czem tylko on się zajmie.

Dla wszystkich ludzi bardzo zajętych, porządek i systematyczność są koniecznemi,—to też Dickens we wszyskiem trzymał się pewnej metody. Czas między śniadaniem a obiadem, był, z rzadkiemi wyjątkami, porą pracy u niego. Codzienne przechadzki były dlań rozrywką a zarazem koniecznością; mianowicie w trakcie prac literackich stawały się dlań niezbędną potrzebą, zwłaszcza przechadzki po nocy. Wśród najokropniejszej słoty, w najdziwniejszych miejscach spotykano go nieraz w Londynie. Czy to w pogmatwanym labiryncie wązkich uliczek, czy na szerokich drogach komunikacyjnych, wszędzie był jakby u siebie. Żądza zbadania wszystkiego i bystry jego zmysł spostrzegawczy wszędzie znajdowały karmę dla siebie: w najodludniejszych pomieszkaniach, na podwórzach i korytarzach, w warsztatach City, w domach gdzie mieszkają ubodzy, w więzieniach, w domach pracy, w biurach policyjnych, w składach tandety i po wszystkich najrozmaitszych targach, na których ubóstwo zaopatruje najkonieczniejsze swoje potrzeby. „Dziś w nocy, od 12 do 2 byłem między włoską czeladzią“—pisze w jednym ze swoich listów.—„Dziś w wieczór—pisze w innym—puszczam się łodzią z nadtamizańską policyą.“ Tak samo robił będąc we Włoszech, w Szwajcaryi, a później w prowincyonalnych miastach francuzkich. „Robię milowe wycieczki na wieś, i możesz sobie wyobrazić, na jakie czasami natrafiam opuszczone okopy, na jakie ciche cmentarzyki, rdzawe mosty zwodzone, wyschłe fossy i opustoszałe zamczyska!...“

Zamiłowanie wsi doprowadzało go częstokroć do tego, że się w przechadzkach swoich zanadto zapędzał.—„Uszedłszy półtrzeciej mili po deszczu—pisze w trzecim roku pobytu swego w Gadshill—wróciłem do domu tak przemokły, że musiałem się zupełnie przebrać i wymoczyć nogi w gorącej wodzie, zanim przyszedłem do siebie i zdołałem wziąść się do roboty.“ We dwa lata później pisze znowu: „Dziś wieje wiatr południowo-wschodni; zdaje się że głowę z karku gotówby urwać człowiekowi. Ja z powodu zaziębienia, przez wczoraj i dziś siedzę w domu, ale to lekarstwo tak nowe dla mnie, iż wątpię żeby mnie przez pół tyle pomogło, co półtorej mil po śniegu. Jeżeli więc ta kuracya dziś nie pomoże, jutro sprobuję tej drugiej.“ I probował jej prawdopodobnie do zbytku. Ból w lewej nodze, którego się w r. 1865 nabawił, i który już do śmierci pozostawił mu ślady po sobie, sam przypisuje zbytkowi chodzenia po śniegu. Prawdziwą atoli przyczyną tej słabości było wyczerpanie nerwowe.

To co napisał w jednym z listów do najmłodszego syna, aby postępował względem drugich tak, jakby chciał aby oni względem niego postępowali, nie zrażając się tem, że oni tego nie czynią,—i to co powiedział do ludu w Birminghamie, że należy starać się o wykształcenie umysłu, nie dla tego że ono do dobrobytu prowadzi, ale że samo w sobie jest dobrem,—było zasadą, której trzymał się zawsze.

Zdolny i skłonny do żywszych uczuć, nie cierpiał ludzi zimnych i obojętnych. „Nie wielu ludziom —pisał— oddaję moje serce, ale prędzej pokochałbym człowieka nienawidzącego całego świata, aniżeli obojętnego, który gdyby mnie jutro zabrakło, poszedłby dalej, najmniejszego żalu po mnie nie czując.“

O nic tak często nie upominał dzieci swoich jak o to, ażeby obojętności drugich nie uważały nigdy za usprawiedliwienie obojętności własnej. „Wszelkie usługi przyjacielskie — mawiał — świadczyć należy dla nich samych, a nie przez wzgląd na zaskarbienie sobie za nie wdzięczności.“ Pewnego razu, gdy przez wzgląd na pamięć zmarłego przyjaciela, usilne robił starania na korzyść jego rodziny, a ktoś mu zrobił uwagę, że ci dla których się trudzi, nie umieją jego usług ocenić, odpisał: „Co się tyczy wdzięczności rodziny, to przecież nieraz ci już powiedziałem, że dobre uczynki pełni się dla tego, że one są dobre i szlachetne, a nie w nadziei odpłaty pięknem za nadobne.“

KRONIKA LITERACKA.

Korrespondencya Stanisława Augusta Poniatowskiego z panią Geoffrin. (Correspondance inedite du roi Stanislas-Auguste et de M-me Geoffrin).

Książka wspomniana wyżej wyszła w ostatnich czasach w Paryżu, obecnie zaś ukazała się w handlu księgarskim w Warszawie. Jest to ciekawy zbiór listów przechowanych w archiwach rodziny Poniatowskich, zawierający niektóre zajmujące szczegóły z historyi owych czasów (1764—1777). Wydawca dopełnia je objaśnieniami tłómaczącemi ustępy mniej zrozumiałe dla ogółu czytelników, oraz krótką wiadomością o osobach piszących i epoce w której trwała ich korrespondencya. Charakterystyka ludzi i wypadków uwydatnia żywo niezmierną różnicę istniejącą pomiędzy wyobrażeniami owej epoki a dni dzisiejszych.

Słynna nie tylko już we własnym kraju, lecz w całej niemal Europie bohaterka książki, pani Geoffrin, nie ma wcale przymiotów wymaganych obecnie dla zjednania sobie rozgłośnego imienia. Nie odznacza się ona ani świetnem położeniem towarzyskiem, ani wyższym nastrojem ducha, a jednakże gromadzi u siebie wszystkie znakomitości epoki. Arystokracya rodu uczy się tam poznawać i cenić arystokracyę rozumu i talentu, talent zaś wszelki i zamiłowanie nauki, znajduje gruntowne poparcie i pomoc w potrzebie. Rozgłos zebrań w salonach p. Geoffrin wybiega wkrótce po za granicę Francyi. Każdy cudzoziemiec przybyły do Paryża pragnie jej być przedstawionym, gdyż bywać u niej znaczy jedno co być przyjętym do najlepszego towarzystwa. Wielcy panowie zarówno jak uczeni i artyści ubiegają się o jej względy, a monarchowie ościennych krajów nie wahają się okazywać jej swej przychylności. Cesarzowa Marya Teresa przyjmuje ją codziennie gdy bawi w przejeździe w Wiedniu; cesarzowa rossyjska zaszczyca ją swą korrespondencyą, a Stanisław August Poniatowski zapewniając ją o dozgonnej przyjaźni, matki jej nadaje nazwisko. Gdy był jeszcze dwudziestoletnim młodzieńcem, przybywszy do Paryża wraz z ojcem który go polecił względom pani Geoffrin, prawdziwie macierzyńskiej doznał od niej

opieki. Nie szczędziła mu rad i napomnień w każdej trudniejszej chwili, a w końcu płaciła nawet długi które zaciągnął. Postępowanie podobne obudziło w sercu przyszłego króla niezapomnianą wdzięczność i wywołało przyjaźń, która nie była miłością, zważywszy na stosunek wieku obojga przyjaciół, lecz graniczyła znią prawie przez poufną zamianę myśli i gorącość uczucia. „Czemuż niema cię tutaj droga moja matko! woła król w chwilach zniechęcenia i smutku, czemuż korzystać nie mogę z pełnych światła i słodyczy uwag twoich!" Pani Geoffrin odpowiada zwykle na podobne słowa również żywą czułością; wyrażenia jej często nie są wolne od przesady; styl taki był wszakże zwyczajnym w owych czasach, gdy wyrazić chciano całą moc przyjaźni, i nie raził nikogo. Po kilku latach prowadzonej w ten sposób korrespondencyi p. G. zapragnęła odwiedzić przyjaciela, i gdy tenże nie sprzeciwiał się temu, wyruszyła w podróż do Warszawy. A podróż to była w owych czasach nie lada, zwłaszcza dla kobiety w wieku podeszłym, nawykłej do wszystkich wykwintów i wygód jakie dać może znaczne mienie. Król troszczył się niezmiernie jak tę drogę przebyć zdoła? Jak zniesie trudy i niewygody pobytu w kraju, który pod wieloma względami dużo niżej stoi od Francyi? Wysłał wkońcu naprzeciw niej jednego ze swych zaufanych dworzan, aby o ile można starał się wszelkie złe usunąć lub złagodzić, sam zaś czynił potrzebne przygotowania na jej przyjęcie. Nie ulega wątpliwości że wszystko najlepiej urządzić musiał, pomimo to wszakże, z powodów których nie wyjaśnia korrespondencya, dwumiesięczny pobyt pani Geoffrin w Warszawie nie zostawił jej miłych wspomnień. Zdaje się że nie była zadowolnioną z osób które najbliżej otaczały króla, a które lękając się zapewne jej wpływu, nie zbyt przyjazne dla niej okazywały uczucie. Przyjaciele których zostawiła w Paryżu pisywali do niej do Warszawy. Pomiędzy innemi odebrała wtedy od Marmontel'a i od Voltaire'a listy zamieszczone wśród korrespondencyi Stanisława Augusta, która zawiązała się znów po powrocie p. G. do Francyi i trwała aż do jej śmierci. Zdaje się że ogólną życzliwość jakiej odbierała dowody do końca życia, jednał jej jedynie niepospolity rozsądek i takt w obejściu, oraz dobroczynne używanie znacznego majątku, jak to już bowiem wspomnieliśmy wyżej, nie posiadała wcale przestronnego i ukształconego umysłu. Urodzona w stanie mieszczańskim, wychowana była przez babkę, która ją zaledwie czytać nauczyła. „Babka moja, powiada w jednym ze swych listów, umiała rozmawiać tak przyjemnie, że brak wiadomości nie raził w niej nikogo. Była też niezmiernie z siebie zadowolnioną i uważała naukę jako zupełnie niepotrzebną kobietom, mówiąc że całe życie obchodziła się bez niej doskonale." Nie kazała też nic uczyć wnuczki i słynna przyjaciółka znakomitych uczonych i królów, nawet pisać ortograficznie nie umiała. Na dowód tego wydawca korrespondencyi przytacza jeden z jej listów nie zmieniając pisowni, jak to czyni w innych, chcąc ułatwić ich czytanie. Widać że p. G. podzielać musiała zdanie babki, skoro nie czuła potrzeby kształcenia się później. Trudnem jest obok tego do wytłomaczenia upodobanie jej w dziełach literatury i sztuki. Zdaje się że chyba nie zawsze pojmować musiała ich znaczenie, zarówno jak ducha rozpraw swych przyjaciół encyklopedystów, których wydania wspierała czynnie, mając zupełnie przeciwne wyobrażenia o religii. Nie tylko bowiem sama zachowywała wszelkie jej formy, lecz nakłaniała drugich aby je szanowali. Łatwo ztąd odgadnąć, że nie przeczuwała groźnej burzy, mającej zniszczyć ówczesny ład i porządek społeczny. Sądy jej o ludziach nie odznaczają się również przenikliwością, chwali tych co w przyszłości wcale się odznaczyć nie umieli, nie odgadując zasługi innych. „Za 50 lat, mówi o Fryderyku Wielkim, nikt pamiętać nie będzie że żył na świecie król pruski."

Wydana w piętnastym roku za mąż, pozostawiła jedyną tylko córkę o której wspomina niekiedy w swych listach. Męża straciła już wtedy, gdy salony jej rozgłośną miały sławę. Był to człowiek ograniczony i nader niemiłej powierzchowności. Powiadają, że pewnego razu ktoś z jej przyjaciół, powróciwszy po długiej nieobecności, zapytał pani G. gdzie się obraca ów pan, który zawsze w jej salonie siadywał w jednym rogu stołu i nic do nikogo nie mówił?

— Ah! odparła, wiem o kim pan mówisz — umarł.

— Umarł? któż to więc był?

— Mój mąż, odrzekła również obojętnie.

Pomimo tej obojętności nikt wszakże, zarówno za życia męża jak po jego śmierci, nie śmiał zarzucić p. G. najmniejszej lekkomyślności w postępowaniu, był to bowiem charakter prawy i szlachetny pod każdym względem, wolny od wszelkich usterków niezgodnych z harmoniją duchowego piękna.

A. B.

Z DOMU I DLA DOMU.

— **Puch sztuczny.** przyrządza się bardzo łatwo z materyału, który dawniej do żadnego prawie nie służył użytku, to jest z piór długich, które od czasu rozpowszechnienia się piór stalowych do pisania, używane były jedynie prawie jako tak zwane „skrzydła" do zmiatania kurzów.— U piór takich obcina się nożyczkami z obu stron tak zwane „chorągiewki" i wsypuje się takowe w długi worek czyli sakwę z grubego płótna. Tak napełnioną sakwę zawiązuje się i wyżyma na sucho rękoma, tak zupełnie jak gdyby się chusty prało. Po kilku minutach takiej operacyi, chorągiewki owe porozdzielają się, pokędzierzawią, i *puch* czyli *edredon sztuczny* jest gotowy. Jest on niezmiernie elastyczny i lżejszy od naturalnego edredonu, gdyż nie zawiera w sobie zupełnie szypułek, które choć bardzo drobne, znajdują się w naturalnym.— Z puchu takiego wyrabia się tkanina bardzo ciepła, cieplejsza od wełnianych a przytem trwalsza, gdyż w miejscach wystawionych na zużycie nie łatwo się przeciera, nie łamie się i nie pęka, tylko się spilśnia. Przytem daje się farbować na wszystkie kolory, a co ważniejsza, jest nieprzemakalną. Jedno z przemysłowych pism francuzkich nie wahało się też nazwać tej tkaniny jednym z największych wynalazków naszego wieku.

— **Melony niedojrzałe** bądź to dla spóźnionej pory, bądź z innego wypadkowego powodu, można przyprowadzić sztucznie do zupełnej dojrzałości, obwinąwszy je w watę i trzymając je przez 8—10 dni w pokoju, w szczelnie zamkniętej skrzyni. Podobnegoż sposobu użyć można i do owoców pestkowych.

Korespondencya do Redakcyi.

Odbieramy list następujący:

Szanowny Redaktorze!

Sądzę, że w interesie każdego pisma leży, aby współpracownik jego nie odstępował od raz wypowiedzianych w nim zasad. Tymczasem współpracownik wasz został posądzony o podobne odstępstwo. Po umieszczeniu w „Ognisku domowem" artykułu p. t. „Przyczynek do kwestyi żydowskiej", otrzymałem surową krytykę w „Izraelicie," na którą uważałem za właściwe odpowiedzieć w temże piśmie. W replice mej wyrzekałem się poglądów, które narzuca mi autor pogadanek, nie zrozumiawszy należycie treści artykułu mego. Tymczasem, jako odpowiedź na nią, wyczytuję w N. 38 „Izraelity" pretensyonalną aproabacyą z dewizą: *qui s'excuse, s'accuse.* Nie myślę tu dowodzić szczegółowo fałszywości mniemania szan. autora, gdyż uważam za zbyteczne powtarzać mu to samo, czego przedtem nie zdołał zrozumieć, lub ze złą wiarą fałszywie wytłómaczył. Śmiem tylko objawić, że od poglądów, wypowiedzianych w „Przyczynku" ani na krok nie odstępuję. Ośmieszenie zaś subjektywnych zwierzeń moich, które zresztą nie miały wyłącznie subjektywnego znaczenia, uważam za smutny objaw donkiszoteryi literackiej i chęci zadosyćuczynienia popędem gniewu. Wogóle cały ton odezwy szan. autora dowodzi, że pragnął zająć w obec mnie jakąś dziwnie pretekcyonalną pozycyą, co go tylko na śmieszność naraziło.

Upraszając o umieszczenie tych kilku słów w piśmie Twojem, Szanowny Redaktorze, przesyłam wyrazy należnego szacunku, z jakim pozostaję.

Antoni Pilecki.

Czyniąc zadość uprawnionemu żądaniu autora powyższego listu, zamieszczamy takowy, oświadczając atoli zarazem, iż po raz ostatni otwieramy szpalty naszego pisma dla tej polemiki, która, nie wchodzimy w to z czyjej winy, schodzi na tory mniej właściwe dla poważnej naukowej polemiki; a takiej tylko chyba moglibyśmy udzielić wstępu do „Ogniska domowego."

Redakcya.

Druk J. Noskowskiego, Mazowiecka Nr. 11. Дозволено Цензурою, Варшава 23 Сентября (5 Октября) 1875 г. Wydawca i Redaktor, **Bronisław Przyrembel.**

DODATEK do Nr. 53-go „OGNISKA DOMOWEGO".

PRZYSIĘGA DEBENHAMA

POWIEŚĆ,

przez

AMELIĄ B. EDWARDS,

z angielskiego tłomaczona.

Tom pierwszy.

(Dalszy ciąg.—Patrz dodatek do Nr. 52).

— Jakże zaludniona jest dziś przystań, powiedział De Benham jak tylko minęli latarnię morską.

— Czas był zapewne brzydki, odpowiedział kapitan, musiały na Atlantyku panować burze, o których nic nie wiedzieliśmy wśród Golfstreamu.

De Benham potrząsł głową.

— Nie zdaje mi się, rzekł. Patrz pan.

I wskazał na kilka statków parowych, jeden lub dwa bardzo małe, jeden prawie tak wielki jak *Ptak Burzy*, niektóre pomalowane na popielato lub zielono, jeden grobowo czarny, wszystkie z niskiemi pochyłemi kominami, wszystkie prawie bez drągów i bez masztów; wszystkie widocznie mające to samo przeznaczenie.

Kapitan spojrzał, obszedł perspektywą całą przystań i szyderczo się uśmiechając, rzekł:

— W każdym razie, nie będziemy teraz mogli narzekać na brak towarzystwa.

Tak było rzeczywiście. *Ptak Burzy* był już tylko jednym z pomiędzy wielu. Dotąd, jeżeli nie najpierwszy odważył się na przebicie się przez blokadę, był jedynym dobrze urządzonym okrętem kuszącym się o to, ale gdy odbywał swoje dwie podróże, inni spekulanci poznali się na tej złotej sposobności robienia majątku, inne okręty zostały uzbrojone w podobnym celu, i przedzieranie się przez blokadę stało się naprawdę rzemiosłem. A jakąż zmianę wytworzyło w Nassau! Siedem tygodni temu nie więcej jak trzy lub cztery okręty zajmowały port; przez siedem tygodni zaledwie kilkanaście osób można było widzieć na wybrzeżach, gdy muzyka nie grała, lub gdy jaki nadzwyczajny wypadek, jak przybycie *Ptaka Burzy*, nie ożywił biednej mieściny. A teraz, statki parowe stały wzdłuż przystani wyładowywując swoję bawełnę, inne na kotwicy się kołysały wśród portu, cała flotylla czarnych łodzi naładowanych węglem przepływała między niemi; żaglowe okręty zabierały kupioną bawełnę, inne przywoziły z Liwerpool, Lizbony, Bordeaux towary i amunicyą, które potem zabierano do skonfederowanych stanów.

Ruch i zgiełk panujący na lądzie i w porcie były widoczne, nawet z dość odległego punktu, gdzie kapitan zarzucił kotwicę, i obraz ten zdziwieniem napełnił wszystkich znajdujących się na okręcie.

— Nigdy nic podobnego nie widziałem w Nassau, mówił czarny sternik, pocierając w zdumieniu wełnistą szopę. Nassau takie nudne miejsce, ani interesów, ani przyjemności, ani pieniędzy. Teraz wszystko żyje!

De Benham oglądał się w koło, ciekawy czy odkryje pomiędzy nowo przybyłemi okręt *Sabrina*, zapowiedziany przez pana Hardwicke, i tak jak wprzódy kazał spuścić łódź i udał się do miasta po listy.

Ale, o zmienności losów ludzkich! gdy pierwszy raz *Ptak Burzy* ukazał się, naładowany do pół komina pakami bawełny, wybrzeża okryte były widzami i tłum liczny się zebrał, żeby przyjąć i obsypać pytaniami De Benhama gdy wstępował na ląd. Był wtedy istnym bohaterem; ale wszystko to minęło, urok wszelki zdarty był z *Ptaka Burzy* i z tych którzy nim przypłynęli. Tłum wprawdzie nie mniejszy go otaczał, ale był to tłum przyzwyczajony do widoku podobnych okrętów i zanadto zajęty własnemi interesami, żeby dłuższym spojrzeniem uczcił nowo przybyły okręt czy ludzi.

De Benham wylądował przekonywając się że nie był bohaterem dla mieszkańców Nassau, ale nie domyślając się, że coś lepszego niż przemijająca popularność czekało na niego, nie domyślając się, że pierwsza twarz którą ujrzy u góry schodów, pierwszy głos który go powoła, będzie twarzą i głosem Arczybalda Blyth.

— Kochany Temple! jak się masz! nie spodziewałeś się mnie widzieć w Nassau.

— Arczy?

— Tak, Arczy, bez wątpienia. Widziałem cię jak przepływałeś zatokę, chciałem się już udać do okrętu, ale kiedy zobaczyłem że spuszczają łódź, wolałem zaczekać.

De Benham z niezwykłą serdecznością ściskał za ręce przyjaciela.

— Ty tutaj? powiedział; zaledwie mogę temu uwierzyć; zdaje się to zanadto dobrem żeby mogło być prawdziwem. I nagle, ogarnięty trwogą zawołał:

— Nic—nic się złego nie stało?

— Złego? ale nie. Wszystko dobrze i wszyscy zdrowi. Mam dwa listy dla ciebie i pełno gazet. Oto są listy, jeden od pana Hardwicke a drugi od pani De Benham, byłem u niej przed wyjazdem moim z Londynu i zastałem ją zupełnie zdrową; nigdy zdrowszą nie była powiada; chciałaby cię widzieć naturalnie, tak jak i ja, dopóki nie zdarzyła mi się sposobność odwiedzenia ciebie.

— Przyjechałeś na *Sabrinie* naturalnie? spytał De Benham, gdy razem zmierzali ku mniej ludnej części wybrzeżów.

— Tak; prosiłem o urlop sześcio tygodniowy, i stary Jakób zapytał się jak dawno nie miałem od ciebie wiadomości i t. d. i skończył na tem, że mi ofiarował bezpłatnie podróż tutaj. Czy to nie ładnie z jego strony?

— Bardzo; ja przynajmniej jestem mu serdecznie wdzięczny.

Oczy Arczy zaświeciły radością.

— Jakże się cieszę, że ci się nie naprzykrzam moim tu przyjazdem, powiedział z prostotą.

— Naprzykrzać się! zawołał De Benham. Mój drogi; nie wiesz co to za szczęście dla mnie mieć cię tutaj. A teraz powiedz mi o wszystkiem, jak długo tu jesteś i co porabiałeś?

— Przyjechałem tu od tygodnia, i nic nie robię cały dzień tylko się kąpię w zimnej wodzie i jem lody. Cóż to za upał! nie wiedziałem dotąd co znaczy gorąco.

— Powinienbyś spróbować Kuby, powiedział De Benham.

— Dziękuję, dosyć mam już w Nassau; ale podróż była nadzwyczaj przyjemna. Nie ma jak statek żaglowy; *Sabrina* przypłynęła tutaj jak łabędź. Widzisz ją tam na kotwicy, ten zgrabny trzy masztowy okręt z białą i czerwoną flagą przy wielkim maszcie.

De Benham skierował ku okrętowi swą perspektywę; była to doskonała perspektywa, kupiona w Hawannie, za pomocą której mógłby był o trzy razy większą odległość ujrzeć złoconą rusałkę i przeczytać słowa: *Sabrina Londyn*, błyszczące na przodzie dzielnego okrętu.

— Czy musisz z nią powrócić? spytał się.

— Nie, jeżeli masz mi co dać do roboty, odpowiedział Arczy skwapliwie. Hardwicke mówił że jeżelibym ci był potrzebny, mógłbym zostać jak długo będziesz chciał.

— To doskonale! Mam właśnie pełno roboty. Będziesz pomocnikiem nadzorcy ładunku; nieraz bardzo go potrzebowałem.

— Będę wszystkiem czem tylko zechcesz, powiedział Arczy uradowany.

Dalej rozmawiali o przygodach Templa, o wojnie i o wszystkiem co się zdarzyło od czasu jak się nie widzieli. Arczy mógł udzielić ostatnich wiadomości, i od niego dowiedział się De Benham, że warownia Hatteras została zdobytą przez Generała Buttera 29-go sierpnia ze stratą dla skonfederowanych siedmiuset jeńców i tysiąca sztuk broni.

— Będzie to długa walka, powiedział De Benham; z jednej strony rozpaczliwa odwaga z drugiej zacięte postanowienie, ale na końcu Południe musi upaść a Północ zwyciężyć.

— Nie tak myślimy w Anglii, powiedział Arczy.

— Tak będziesz myślał kiedy ze mną pojedziesz do Charleston, odrzekł drugi, zobaczysz dlaczego tak być musi. Skonfederowani są dzielnemi ludźmi, ale przyjdzie chwila kiedy im środków zabraknie. Środki zaś Północy są niewyczerpane, a oprócz tego Yankee ma nieugiętą naturę, nie wiedzącą co to jest uledz.

I opowiedział Arczy o Bostończyku którego widział napadniętego na tem samem wybrzeżu przez czterech Południowców, i który chociaż sam, bez broni i widząc nóż w ręku przeciwnika, przecież wolał rozprawić się.

— A jednak, dodał śmiejąc się, ten sam człowiek gotów był kupić cały mój pierwszy ładunek bawełny, nie zważając bynajmniej na naruszenie prawa. Ale oto on sam. Czy widziałeś kiedy doskonalszy typ Amerykanina?

— Chce z tobą pomówić, powiedział Arczy.

— Bądź pewny że ma jaki interes.

Bostończyk przybliżył się do nich poważny i sztywny.

— Cóż? rzekł, musisz pan znajdować różnicę w tym porcie, od ostatniej twojej bytności? Nassau stało się środkowym punktem nowego handlu, nieprawnego handlu ale handlu, który się będzie codzień wzmagał. Nic ma narodu na świecie mogącego skutecznie blokować pięćset mil wybrzeży.

— Muszą niewątpliwie być miejsca gdzie ta blokada nie może czynnie działać, powiedział De Benham.

— Jest niepodobieństwem, żeby było inaczej. Tymczasem przewidując, że port będzie wielce uczęszczanym przez jakiś czas jeszcze, urządziłem warsztat na Victoria Creek, za tym językiem ziemi. Jeżeli pański okręt potrzebowałby urządzenia lub naprawy, będę szczęśliwym jeżeli panu zdołam być użytecznym.

Podał De Benhamowi swój bilet, ukłonił się i odszedł.

Młodzi ludzie parsknęli głośnym śmiechem jak tylko się dostatecznie oddalił.

— I oto, powiedział Arczy, oto patryotyzm Yankesów. Jakże się nazywa?

— Wilbur H. Sakem.

— Zdaje mi się że p. Wilbur H. Sakem niebardzo przyjemne chwile spędzi, jeżeli kiedy rząd jego dowie się o jego niewinnych spekulacyjkach.

— Tak, ale nie powinieneś myśleć, że dla tego że nie umie się oprzeć pokusie zarobienia dolarów, kiedy można je zarobić, przyjacielowi naszemu brak przywiązania do kraju. Każ mu naprawiać skonfederowany statek, a odmówi, chociażby to był najkorzystniejszy interes; daj mu zapłatę skonfederowanych biletami bankowemi a nie dotknie ich się obcęgami.

Postaw go naprzeciw uzbrojonych Południowców, a nietylko będzie się z nimi bił, ale jak wytrwały rycerz w dawnej balladzie, gdyby obydwie nogi mu odcięto, biłby się jeszcze stojąc na kawałkach jakieby się zostały.

— Robisz z niego bohatera.

— Bo jest tam bogata żyła heroizmu, ukryta może pod podlejszym kruszcem, ale nierozłączna od jego natury; i to co mówię stosuje się nie tylko do p. Wilbur H. Sakem, ale do wszystkich Amerykanów.

— A co mówisz o tej czci dla wszechmocnego dolara? Nie ma w tem nic bardzo bohaterskiego.

— Jest jednak coś symbolicznego w tej czci oddawanej wszechmocnemu dolarowi. Dolar jest potęgą, a potęga robi naród wielkim w obec innych; bo doprawdy, Arczy, te wszystkie słabostki i śmieszności, którem tak cechujemy Yankesów, są tylko powierzchownemi rysami i wiele szczytnych przymiotów pokrywają. Im więcej się widzi Amerykanów skonfederowanych czy federalnych, ludzi z Południa czy z Północy, tem jaśniej się poznaje szlachetną, śmiałą, i nie lękam się tak powiedzieć, bohaterską stronę ich charakteru.

Tak rozmawiając, to o przedmiotach zajmujących ogół, to o wypadkach i osobach tyczących się ich tylko przyjaciół, przechadzali się pod drzewami aż do zachodu słońca, a potem razem jedli obiad w hotelu, teraz przepełnionym ludźmi, gwarnym, i nielitościwie drogim.

— Nie masz wyobrażenia co to będzie kosztować, powiedział Arczy przestraszony kiedy De Benham kazał sobie otworzyć osobny gabinet i podać różne wykwintne potrawy wypisane na karcie ale bez oznaczenia ceny.

— Jadłem tu obiad pierwszego dnia, niemając jeszcze wyobrażenia o niczem, ale nigdy nie powtórzyłem tej próby. Musiałem zapłacić pięć dolarów za kurczę, za porcyę duszonych ostryg i za pół butelki wina. Butelka wina Szampańskiego kosztuje podobno dwadzieścia pięć szyllingów.

— De Benham się rozśmiał.

— Mój kochany, powiedział; mniejsza o cenę tego wszystkiego. Będziemy pili Szampańskie wino i Chateaux Margaux co dzień, dopóki pozostaniemy w Nassau, chociażby przyszło zapłacić dwa razy dwadzieścia pięć szyllingów za butelkę. Jesteś moim gościem jak wiesz, muszę się tobą nacieszyć i jestem teraz bogatym.

I pierwszy raz w życiu kosztował przyjemności bogactwa. Tak mu miło było widzieć poczciwą twarz Arczybalda z drugiej strony stołu, wydawać dla niego pieniądze, uraczać go, mieć go za gościa. Nigdy nie czuł tyle przywiązania dla przyjaciela, nigdy przyjaźń nie wydała mu się rzeczą tak dobrą i przyjemną. Można się widzieć zmuszonym do wyrzeczenia się miłości; wielu ludzi musiało spełnić tę ofiarę, i długi i samotny żywot pędzili, ale nikt nigdy nie miał obowiązku poświęcenia przyjaźni. Ten skarb, ta przyjaźń tak wierna, tak skora do poświęceń, tak zapominająca o sobie, należał do niego, i mógł być pewnym że będzie do niego należeć dopóki tylko będzie go godnym. Postanowił więc być zawsze godnym przywiązania Arczybalda, i o ile mógł być dobrym dla niego, przez całe swe życie.

— Nigdy nie doznałem przyjemniejszego zdziwienia, jak kiedy cię dzisiaj ujrzałem na wybrzeżu, powiedział. Pijmy na zdrowie naszej przyjaźni; aby długo i serdecznie trwała.

Uderzyli kieliszkami przez stół, raz, dwa, trzy. Dawno już Arczy nie widział De Benhama tak wesołym.

ROZDZIAŁ V.

Niebezpieczeństwa na lądzie.

Powracać do Charleston, do tego miasta gościnnego, ożywionego, zdawało się wszystkim znajdującym się na *Ptaku Burzy*, powracać do dawnych przyjaciół; ale odwiedzanie tych dobrych przyjaciół nie odbywało się bez trudności, a te ostatnie nawet o wiele się pomnożyły od czasu pierwszego ich przyjazdu. Jeżeli liczba śmiałych statków przedzierających się przez blokadę zwiększyła się, flota blokująca była także silniejszą i baczniejszą. Okręty czatujące cały dzień wzdłuż wybrzeży, skupiały się w nocy przy wejściu do przystani, tworząc podwójną, ścisłą linię, a naokoło, i pomiędzy niemi przepływały bez ustanku szybkie kanonierki, uzbrojone w jedno działo i tak małe, że po ciemku były zupełnie niewidzialne, po za donioslością strzału armatniego. Zawikłany systemat sygnałów, urządzonych za pomocą świateł kolorowych, został świeżo wprowadzony, tak, że obcy okręt był otoczony niebezpieczeństwami, jeżeli noc nie była bardzo ciemna i mgła bardzo gęsta. Pomimo tych niebezpieczeństw, liczba wypraw, zamiast się zmniejszać, stawała się coraz większą, i szczęście w ogóle im sprzyjało. Niektóre statki były naturalnie schwytane, inne, żeby ujść podobnego losu, były rozbite o wybrzeża przez własną załogę i tam spalone; ale inne, chociaż dostrzeżone i ścigane, potrafiły uciec, dzięki swej szybkości i śmiałości, i większa część, zbudowana szczególnie na ten cel, umiała kilka razy się przebić, nim godzina nieszczęścia wybiła. Zyski zarobione na towarach przywiezionych przez okręty, i na bawełnie wywiezionej, były tak nadzwyczajne, że w owych czasach opłaciło się odbyć szczęśliwie dwie podróże i zostać ukaranym dopiero za trzecią.

Ptak Burzy, zabrawszy ładunek przywieziony przez *Sabrinę*, i znowu powierzony umiejętnemu kierownictwu pana Zacharyasza Polter, śmiało się puścił w tę trzecią podróż, nieustraszony nowemi niebezpieczeństwami, i zwykłe szczęście go nie opuściło. Dzięki swemu urządzeniu i ciemnej nocy bez księżyca, dzięki także niedoli towarzysza zajmującego się tem samem rzemiosłem, i gorąco ściganego w przeciwnym kierunku, w ważnej chwili kiedy *Ptak Burzy* kierował się ku wałowi, raz jeszcze szczęśliwie dobił do lądu.

Znów nastąpiły gorące powitania, gościnność bez granic, życzliwość ogólna, a także przedawanie, zakupywanie, wyładowywanie i układanie bawełny na okręcie. Gdyby nie rodzaj gorączki, w jakiej go utrzymywały niebezpieczeństwa przeprawy i wzruszenia towarzyszące robieniu majątku, wszystko to byłoby się niedługo sprzykrzyło De Benhamowi. Szczegóły handlu, targowanie się, były mu chwilami nieznośne, ale jakkolwiek miało się ma upodobania do czegoś, trudno żeby zajęcie, za pomocą którego łatwiej się zarabia pieniądze niż je można przeliczyć, prędko się sprzykrzyło, a De Benham rachował, że zyskiwał teraz przeszło dwadzieścia tysięcy funtów na miesiąc.

— Jestto życie rozkoszy, mówił Arczy, dla którego wszystko było nowem i zabawnem.

— Jestto życie gorączkowe i pełne niepewności, odpowiedział De Benham.

— Ale pomimo tego, *okropnie* przyjemne, jakby gra hazardowna.

— Tak, jest to ruleta z dodatkiem armaty, kotła przepełnionego parą prawie do stopnia pęknięcia, i więzienia w Nowym Yorku. Możesz je znajdować okropnie przyjemnem, ale dla mnie tem nie jest. Nie jest to wcale miło ciągle uciekać, a powtóre zawsze służyć za cel pociskom i nie módz odpowiedzieć ani jednym wystrzałem.

— Dla czego nie moglibyście mieć także kilku armat i oddać im wet za wet? zapytał Arczy naiwnie.

— Dlatego, mój kochany, że uważanoby nas wtedy za korsarzy, i że nie mamy żadnej ochoty wisieć.

Tymczasem Arczy bawił się po królewsku od rana do nocy. Obiady, chłodzące napoje, przechody wojsk, muzyka, nawet składy bawełny, wszystko to miało dla niego powab nowości. Nie mając nic do zyskania ani do stracenia, niebezpieczeństwa uwydatniały tylko przyjemności wyprawy, i nawet więzienie w Nowym Yorku, gdyby go doprawdy los tam umieścił, bynajmniej go nie trwożyło, przynajmniej dla niego samego. W takim razie zwiedziłby darmo Nowy York.

De Benham jako przedstawiciel wielkiego domu handlowego z Londynu, był uprzejmie przyjmowany, gdziekolwiek przyjeżdżał, w Hawannie, w Mobile, ale nigdzie z taką serdecznością i wytrwałością jak w Charleston. Mieszkańcy Południowej Karoliny nic jeszcze nie utracili ze swej wesołości i zaufania w własne siły; przechwalali się ciągle z powodu bitwy pod Bul Run i zapowiadali nowe tryumfy. O wzięciu warowni Hatteras i o stratach jakie tam ponieśli, mało mówili i mniej jeszcze zdawali się myśleć. W każdym razie gościnność ich była zawsze równie wspaniałą; zresztą nie mogli zapomnieć, że De Benham pierwszy, pomimo blokady, zawitał do nich po tę bawełnę która innych nie miała kupców, i że *Ptak Burzy* odwiózł z Anglii jednego z najwięcej cenionych pomiędzy ich współobywatelami. Arczy dzieląc wszystkie te przyjemności, nigdy tyle nie bywał w świecie jak przez te dwa tygodnie spędzone w Charleston.

Szczególnie przyjemnym dla obydwóch był dom pułkownika Ashby, bliskiego sąsiada senatora Shirley i wysoko położonego w departamencie wojny. Pułkownik Ashby był wdowcem i miał trzy córki, wszystkie wykształcone, młode, dowcipne, śmiałe w rozmowie jak zwykle Amerykanki. Nazywały się: Eleonora, Joanna i Dyana. Joanna była najmłodszą, może także najmniej uroczą, w każdym razie mniej świetną od siostr. Eleonora i Dyana były obie bardzo piękne, tą pięknością wzniosłą, delikatną, duchowną, którą zaczynamy dopiero uznawać jako szczególny udział kobiet z za Atlantyku. Były nie tylko piękne i podobne do siebie, ale pełne zapału; mówiliśmy już o zapale Dyany Ashby; De Benham nieraz sobie przypominał, jak w tych chwilach oczy jej błyszczały i stawały się ciemniejsze, bo te oczy dziwne się czasem mieniły. Były przepyszne, wielkie, jasne, śmiało przed siebie patrzące, ciemno siwe z odblaskiem niebieskawym; ale czasem zupełnie się przemieniały i stawały się czarne jak najczarniejsze oczy świecące pod Hiszpańską mantylą. To też pomiędzy najprzyjemniejszemi nadziejami De Benhama, kiedy przypływ morza unosił go znowu po nad wałem portu Charleston, była myśl że usłyszy czysty i dźwięczny głos Dyany Ashby, że ujrzy ten lekki rumieniec występujący na jej lica, i ten ciemny płomień oświecający jej wejrzenie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Druk J. Noskowskiego Mazowiecka Nr. 11. Дозволено Цензурою, Варшава 23 Сентября (3 Октября) 1875 г.